

Kto, po co i jak - czyli „Szewcy” według Jerzego Stuhra

- Było wiele pomysłów, jak uczcić finał obchodów stulecia awangardy w naszym teatrze. Zorganizowaliśmy mnóstwo wystaw i przedstawień, ale Witkacy ciągle umykał. Chcieliśmy dać mu wybrzmieć. To był jeden telefon dyrektora Barta, szybkie spotkanie i ogromny uśmiech na twarzy reżysera - tak genezę inscenizacji „Szewców” w Teatrze Nowym opisała prowadząca spotkanie Martyna Quant. Wybór nie był przypadkowy. Witkacy to pasja Jerzego Stuhra od czasów studenckich. Grał w wielu realizacjach scenicznych jego dzieł, m.in. w dramacie „Matka” w reżyserii Jerzego Jarockiego, a później we Włoszech, w sztukach „Oni”, czy „Mątwą”. - Jeśli w szkołach, w których uczyłem, dawano mi wolną rękę, to zawsze był Witkacy lub Gombrowicz - przyznał reżyser.

Po ponownym przeczytaniu „Szewców” miał wiele przemyśleń i wizje kilku różnych przedstawień. - Jest mnóstwo wątków i mógłby wyjść na przykład spektakl feministyczny. Musiałem się na coś zdecydować i wybrałem nurt tożsamości - stwierdził Jerzy Stuhr. - My zawsze chcemy być kimś innym jako Polacy. To tak, jak szewcy. Nie mieli langusty, chcieli ją, dostali i dalej im nie pasowało, chcieli czegoś następnego - powiedział reżyser, który po premierze usłyszał od widzów, że ta sztuka trafia w dzisiejszy czas, że jest historią o Polsce, jak „Wesele” Wyspiańskiego. - To jest rozmowa nawet nie o Polsce, a o Polakach, ich charakterze, kompleksach, niemocy i pięknym języku, „O, idzie nasz dobro złoczyńca”, kto inny by to wymyślił? - pytał retorycznie Stuhr.

Prowadząca przypomniała, że Stanisław Ignacy Witkiewicz tworzył „Szewców” wyjątkowo długo, na co autor przedstawienia powiedział: - W latach 30. historia była dynamiczna, mam przecucie, że on zwlekał, bo czuł, że coś się jutro wydarzy, że musi mieć czujne pióro - i przyznał, że przeraża go powtarzanie się historii w dzisiejszych czasach. - Marks pisał, że historia powtarza się jak farsa. Tu się powtarza trochę jak groteska, te same zagrożenia, ta sama pogarda jednych Polaków do drugich.

Choć Jerzy Stuhr zastrzegł, że niczego nie dopisuje autorom inscenizowanych przez siebie sztuk, a jedynie skraca dialogi, to musiał jakoś dostosować „Szewców” do gustu współczesnych odbiorców. Jednym z etapów adaptacji była praca nad językiem. - Obecnie ludzie nie mają cierpliwości do takich wyszukanych zwrotów, jakie stosował Witkacy, nie są do nich przyzwyczajeni. Musiałem popracować z aktorami, żeby ten nieco dziwny język stał się językiem przyswajalnym. Tu się odezwała moja natura filologa, z wykształcenia jestem filologiem, dla mnie język polski jest świętością - powiedział Jerzy Stuhr, który w tekście pozostawił jednak sporo publicystyki międzywojnia. - Takie filary, jak Zahorska, Boy czy Słonimski są poza epokami. Uważam, że tamten okres ma swój urok, choć na koniec chochoł wychodzi z telefonem komórkowym, to się buja między epokami - mówił reżyser.

Choć, jak zauważyła prowadząca, bohaterowie przedstawienia mają konkretne imiona i twarze, to postacie są zuniwersalizowane. - Staram się wyciągać, co mogę, poza scenę. Spójrzmy chociażby na postać w todze sędziego trybunału i wymowną kwestię: „Odkąd mam władzę, nie wiem, kim jestem”. Na tym polega dyskurs teatru. Nie ukrywam, że każda moja sztuka to teatr, że to jest nawias - stwierdził krakowianin. Zapytany o obecność w jego inscenizacji koncepcji Czystej Formy Witkacego, Jerzy Stuhr stwierdził, że żeby to zrobić, trzeba by przeczytać ze zrozumieniem pisma filozoficzne Witkiewicza, a nigdy nie miał do tego cierpliwości. - Wydaje mi się, że kluczowe jest sprowadzenie tej sztuki do realizmu. Chociaż powiew absurdu zawsze zostaje, Witkacy tego pilnował - powiedział reżyser, który scenograficznie postawił na absurd, natomiast pod względem gry aktorskiej - na realizm. - Zawsze myślałem, jak uabstrakcyjnić realność. Witkacy umieścił

zakład szewski w nieprzyjaznym miejscu, w górach pod skałami. Zastanawiałem się, gdzie boję się iść pieszo. Zawsze się boję tego, że zepsuje mi się auto i będę musiał iść autostradą. Dlatego umieściłem akcję na autostradzie.

Bohater spotkania zwrócił uwagę na istotną rolę muzyki w spektaklu. – Jest jej tam mnóstwo, od arietek operowych po disco-polo. Szukałem kompozytora, który to zrobi. Teatr proponował mi Mykietyna i Moźdzera, ale oni mieliby disco-polo napisać? Stąd Jurek Satanowski, porozumiewamy się w pół zdania, ufam mu – wyjaśnił Jerzy Stuhr. Co było największym wyzwaniem i kosztowało najwięcej wysiłku podczas przygotowania przedstawienia? – Najważniejsze, to uczynić zespół jednorodnym, żeby wszyscy grali w tym samym stylu, każdy jest po innej szkole, ma inne doświadczenia. To jest straszna robota, pomaga mi to, że jestem aktorem – stwierdził krakowianin.

Czy interpretacja Stuhra wpisuje się w kanon teatru iluzji? – Ja z takiego teatru wyrosłem. Kiedyś w „Dziadach” brało udział sto osób, dziś to nierealne. Dlatego skupiam się raczej na operach. Teatry nie dają mi możliwości technicznych, żeby dzieło móc wyczarować. Wiedziałem natomiast, że w Nowym będę mógł przygotować tę inscenizację tak, jak chcę i faktycznie, można to nazwać teatrem iluzji – odpowiedział reżyser. Wytłumaczył też różnicę między filmem a spektaklem. – Film to tylko forsa, jak zbierzesz 6-10 milionów to już wiesz, że to będzie dobrze zrobione, a w teatrze trzeba wszystkiego przypilnować, tu się tworzy niemalże jak w rodzinie.

„Szewcy” nie są sztuką łatwą. Nie inaczej jest z jej sceniczną wersją według pomysłu Jerzego Stuhra. Z interpretacją mają problem szczególnie młodzi ludzie, uczeni myślenia wertykalnego, schematycznego, a nie szerszego, horyzontalnego. Szukają oni programowego klucza, którego nie ma. – Trzeba użyć umiejętności abstrakcyjnego myślenia. Niestety ta umiejętność jest wśród młodych ludzi trzebiona przez szkołę, telewizję i Internet – powiedział reżyser. Przedstawienie w Teatrze Nowym już teraz cieszy się dużym zainteresowaniem szkół. – Tylko żeby nauczyciele mieli odwagę dobrze o tym dyskutować – podsumował reżyser.

Czy jest szansa, że spektakl Stuhra zostanie zarejestrowany i trafi do telewizji? – Na razie teatr na to nie pójdzie, bo chce mieć pełną widownię. A potem? Pewnie, jest wielka pokusa, żeby to utrwalić. To się dopiero narodziło, zobaczymy jak zareagują władze. Jest za wcześnie, by o tym mówić. Najwyżej nagramy to ze studentami na płytę – przyznał z rozbawieniem profesor.

Jakie są plany Jerzego Stuhra na najbliższe miesiące? Zapytany o spektakl, który chciałby wyreżyserować w Łodzi po „Szewcach”, odpowiedział żartobliwie, że już chyba tylko „Dziady”. Po czym dodał poważnie: – Zaproponowałem mojej najlepszej przyjaciółce Krystynie Jandzie „Bal manekinów”, w którym zagra minimum siedemnastu aktorów. Początkowo przeraziła ją ta liczba, ale ostatecznie zgodziła się zająć spektaklem i zaraz zaczynamy „Bal manekinów” z moim synem w roli głównej.

Tekst i zdjęcia: Kacper Krzczewski